Polska lekcja rozwoju: instytucje, paradoksy i przyszłość

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł "Polska lekcja rozwoju: instytucje, paradoksy i przyszłość" bada ewolucję gospodarczą Polski, podkreślając kluczową rolę instytucji. Analizuje teoretyczne podstawy instytucji inkluzywnych i eksploatacyjnych, a także historyczny kontekst rozwoju kraju przed 1989 rokiem, w tym wpływ oligarchii szlacheckiej i komunizmu. Następnie skupia się na transformacji po 1989 roku, jej sukcesach, nierównościach i konfrontacji z Konsensusem Waszyngtońskim. Przedstawia nową agendę rozwojową – Konsensus Warszawski – oraz współczesne wyzwania, takie jak pułapka średniego dochodu, populizm, dekarbonizacja i digitalizacja. Całość uzupełnia refleksja nad wpływem kultury, idei i elit na kształtowanie ścieżki rozwoju Polski.

The article, "Poland's Development Lesson: Institutions, Paradoxes, and the Future," examines Poland's economic evolution, emphasizing the crucial role of institutions. It examines the theoretical foundations of inclusive and exploitative institutions, as well as the historical context of the country's development before 1989, including the influence of the aristocratic oligarchy and communism. It then focuses on the post-1989 transformation, its successes, inequalities, and its confrontation with the Washington Consensus. It presents a new development agenda—the Warsaw Consensus—and contemporary challenges such as the middle-income trap, populism, decarbonization, and digitalization. It is complemented by a reflection on the influence of culture, ideas, and elites in shaping Poland's development path.

Zacznijmy od truizmu, który w ekonomii bywa jak przyprawa do zupy: wszyscy go znają, lecz mało kto używa z wyczuciem. Instytucje mają znaczenie. Nie „instytucje” jako gmachy z kolumnami, lecz reguły gry, formalne i nieformalne, które decydują, kto ma prawo, kto ma moc, a kto ma tylko nadzieję. Daron Acemoglu, Simon Johnson i James A. Robinson nadali tej intuicji ostrą, naukową krawędź, proponując rozróżnienie na instytucje inkluzywne i eksploatacyjne.

Pierwsze rozszerzają udział w życiu gospodarczym i politycznym, chroniąc własność nie tylko wybranych; prawo nie jest w nich zbroją dla nielicznych, lecz parasolem dla wielu. Drugie, przeciwnie, koncentrują władzę i rentę, a rynki są otwarte głównie dla tych, którzy sami konstruowali bramki wejściowe. W ujęciu AJR to nie klimat, geografia czy „narodowy charakter" przesądzają o bogactwie, lecz to, czy reguły gry premiują innowację i szeroki udział, czy raczej ekstrakcję i zamykanie barier. Jak ujął to Acemoglu: „Narody upadają dziś dlatego, że ich eksploatacyjne instytucje nie tworzą bodźców do oszczędzania, inwestowania i innowacji. " To nie jest aforyzm na plakat, lecz streszczenie programu badawczego, który zdominował ekonomię instytucjonalną ostatnich dwóch dekad. Definicje te nie żyją w próżni. „Instytucja" w sensie Douglassa Northa to „reguły gry w społeczeństwie", czyli ograniczenia wymyślone przez człowieka, które kształtują jego interakcje.

SŁOWA KLUCZOWE

Instytucje inkluzywne | Instytucje eksploatacyjne | Konsensus Warszawski | Pułapka średniego dochodu | Transformacja po 1989 roku | Rozwój gospodarczy Polski | Daron Acemoglu | Douglass North | Nierówności dochodowe | Dekarbonizacja | Digitalizacja | Populizm | Kultura szlachecka | Kapitał ludzki | Konsensus Waszyngtoński

Instytucje: fundament rozwoju gospodarczego

oznacza to, że poziom konkurencji, bezpieczeństwo własności, niezależność sądów czy media jako aparat kontroli nie są luksusem – to techniczne warunki produkcji bogactwa. Dlatego spór o polską transformację po 1989 roku nie jest akademicką scholastyką, lecz sporem o logistykę bodźców. Gdy instytucje są inkluzywne, rynek pracy nagradza umiejętności, a nie koneksje; bank nagradza wiarygodność, a nie nazwisko; rynek produktów nagradza efektywność, a nie monopol. To wszystko brzmi prosto, oczywiście dopóki nie spróbujemy tego zbudować.

Historyczne instytucje: bariera dla rozwoju Polski

Polska przez cztery stulecia była, w sensie teorii Acemoglu i Robinsona, oligarchią **par excellence**. Szlachecki monopol na władzę publiczną, pańszczyzna jako technologiczna eksploatacja pracy, systemowe

wykluczenie miejskich przedsiębiorców i chroniczna anemia fiskalna państwa tworzyły samonapędzającą się machinę stagnacji. To sprzężenie zwrotne skutecznie tłumiło urbanizację i inwestycje. Nasza peryferyjność w europejskim podziale pracy nie wynikała z lenistwa czy klimatu, lecz z faktu, że reguły gry zbyt konsekwentnie zamykały drogę awansu wszystkim spoza stanowej elity. Gdy Zachód budował fabryki, my z zapałem budowaliśmy mity o wyższości ziemiańskiej cnoty nad „mieszczańskim kramarstwem". Nieprzypadkowo Marcin Piątkowski prowokacyjnie twierdzi, że prawdziwy „złoty wiek" Polski zaczął się dopiero po 1989 roku. Dopiero wtedy zmieniły się fundamentalne parametry instytucjonalnej gry.

Paradoks komunizmu: dziedzictwo transformacji

Dotykamy tu paradoksu, którego wypowiedzenie wymaga intelektualnej dyscypliny i ominięcia ideologicznych barykad. Komunizm, bezdyskusyjna katastrofa gospodarcza i moralna, dokonał zarazem dzieła zniszczenia, które okazało się brutalną modernizacją: wyrugował feudalne relikty przez stulecia kneblujące społeczną mobilność. Wyrównał dystrybucję szans, siłą uprzemysłowił peryferie i otworzył ścieżki awansu dla tych, którzy w dawnym porządku mieli jedynie odgrywać role statystów. W efekcie Polska w 1989 roku startowała z niespotykanym w swojej historii, egalitarnym rozkładem kapitału ludzkiego i ambicji. Elity starego typu utraciły zdolność narzucenia wspólnocie własnych reguł gry. To była ta historyczna godzina, w której inkluzywność miała szansę z materialnego faktu stać się fundamentem nowego ładu. Tak, system był niewydolny i represyjny. I jednocześnie tak, to on stworzył masową klasę średnią o aspiracjach, bez której liberalna demokracja nie miałaby społecznej bazy. Ta dwuznaczność jest trudna, ale jest prawdziwa.

Decyzje instytucjonalne: klucz do sukcesu po 1989

W tej logice transformacja po 1989 roku przypominała operację na otwartym sercu. Seria cięć była podręcznikowa: szybka liberalizacja cen, twarde kotwice antyinflacyjne, przywrócenie konkurencji i prawa upadłościowego, a wreszcie otwarcie na globalny kapitał i unijna „kotwica" regulacyjna. Jednocześnie jednak Polska wykonała manewr nieoczywisty, który dziś wydaje się podręcznikową mądrością po fakcie. Opóźniła prywatyzację największych firm, dzięki czemu uniknęła plagi oligarchów na modłę rosyjską czy czeską. Zdążyła uczyć się na cudzych błędach, zwłaszcza na tle kuponowych eksperymentów sąsiadów. Z perspektywy teorii przechwytywania państwa nie był to przypadek, lecz dowód na instytucjonalną przezorność.

Transformacja: sukces bez oligarchizacji

Porzućmy na chwilę narrację, spójrzmy na twarde dane. Od 1992 roku polski PKB na głowę (według parytetu siły nabywczej) wzrósł blisko 3,5-krotnie, co czyni Polskę najszybciej rosnącą gospodarką w swojej europejskiej klasie i jednym z globalnych liderów ery postzimnowojennej. Gdy w 2009 roku cała Unia Europejska pogrążała się w recesji, Polska jako jedyna zanotowała wzrost o 2,6%, unikając spadku dzięki unikalnej kombinacji elastycznego kursu walutowego, silnego popytu wewnętrznego i specyficznej struktury gospodarki. W relacji do zamożnej „piętnastki" UE, nasz poziom dochodów przeskoczył z pułapu poniżej jednej trzeciej do wartości, które w latach dziewięćdziesiątych wydawały się czystą fantazją. To nie efekt działania magicznej różdżki „rynku", lecz owoc długiej sekwencji korekt w regułach gry.

Wzrost to jednak nie wszystko; kluczowe staje się pytanie o jego owoce, a tu wkraczamy na pole minowe mitów. Mit pierwszy: „Transformacja w Polsce powieliła scenariusz rosyjski, wzbogacając nielicznych kosztem mas". Dane mówią coś zupełnie innego. Współczynnik Giniego, czyli standardowa miara nierówności dochodowych, owszem, wzrósł po 1989 roku, ale pozostał niższy niż w wielu krajach regionu i radykalnie niższy niż w Rosji. Dziś, dzięki analizom danych podatkowych, wiemy, że konwencjonalne miary zaniżają nierówności na samym szczycie, ale nawet po tych korektach polski obraz pozostaje odległy od ścieżek oligarchizacji. Nie jest to laurka dla systemu idealnego. To dowód, że reguły gry miały realny efekt ochronny przed przejęciem państwa przez rentierskie elity.

Konsensus Warszawski: strategia rozwoju Polski

W literaturze ekonomicznej przez dekady panował nienaruszalny dogmat: tak zwany Konsensus Waszyngtoński. Był to swoisty dekalog neoliberalnych zaleceń, od żelaznej dyscypliny finansów publicznych po bezwarunkową liberalizację handlu, którego patronami byli Ronald Reagan i Margaret Thatcher, a misjonarzami instytucje takie jak MFW czy Bank Światowy. Polska u progu transformacji przyjęła ten pakiet niemal w całości, fundując sobie twardą terapię szokową. Jak każda doktryna, Konsensus ten był lekiem o potężnych skutkach ubocznych: skutecznie zdusił hiperinflację, lecz zignorował olbrzymie koszty społeczne i strukturalne tej terapii.

Dziś jednak na horyzoncie klaruje się projekt alternatywny. Konsensus Warszawski. To propozycja nie mniej ambitna niż jej waszyngtoński pierwowzór, lecz skrojona na miarę specyfiki Europy Środkowo-Wschodniej i jej obecnego etapu rozwoju. Jego kluczowe przesłanie jest proste: czas taniej siły roboczej i importu gotowych instytucji dobiegł końca. Potrzebna jest nowa wizja, oparta na pięciu filarach ujętych w formułę „5I": instytucje, inwestycje, innowacje, imigracja oraz inkluzywność.

Każdy z tych filarów jest warunkiem koniecznym. Instytucje muszą być nie tylko formalną fasadą zgodną z europejskim prawem, ale faktycznie sprawnym mechanizmem, odpornym na zawłaszczanie przez polityczne czy biznesowe elity. Inwestycje powinny być masowe i strategiczne, celując w infrastrukturę transportową, energetyczną i cyfrową, by zasypać „tysiącletnią lukę infrastrukturalną", dziedzictwo wieków peryferyjności, którą nadrobić można jedynie publicznymi wydatkami rzędu 8% PKB rocznie. Innowacje muszą zejść z politycznych transparentów i wejść do laboratoriów, od zielonej energii po sztuczną inteligencję. Imigracja staje się demograficznym imperatywem, gdyż starzejące się społeczeństwo grozi stagnacją. Wreszcie inkluzywność, czyli dbałość o to, by owoce wzrostu były szeroko dzielone, bo tylko wtedy demokracja i gospodarka mogą się wzajemnie wzmacniać.

Konsensus Warszawski to zatem projekt na miarę wyzwań XXI wieku. Przypomina o prawdzie, którą lapidarnie ujął noblista Joseph Stiglitz: „PKB to nie wszystko." Polska debata publiczna musi wreszcie przenieść swój środek ciężkości z obsesyjnego śledzenia słupków wzrostu gospodarczego na to, co stanowi o realnej jakości życia: dobrostan społeczny, szczęście i jakość życia.

Gospodarka Polski: szanse i zagrożenia przyszłości

Polska, podobnie jak inne kraje uwięzione w pułapce średniego dochodu, próbuje utrzymać kurs na wzburzonym morzu. Autorzy nowej agendy rozwojowej kreślą mapę tych niebezpiecznych wód, wskazując pięć głównych raf, które można nazwać „5P": populizm, przyroda, populacja, plutokracja i produktywność. Każda z nich to osobne wyzwanie, a razem tworzą niemal perfekcyjny sztorm.

Populizm stanowi bezpośrednie zagrożenie dla jakości instytucji. Paradoksalnie, w polskim wydaniu miał on dotąd pewien aspekt prowzrostowy, gdyż programy socjalne w rodzaju 500+ łagodziły nierówności i stymulowały wewnętrzną konsumpcję. Jednak długofalowo postępująca erozja praworządności i niezależności mediów może podważyć same fundamenty inkluzywnego wzrostu. Przyroda to, bez ogródek, klimat. Polska gospodarka wciąż oparta jest na węglu, a dekarbonizacja stanie się ostatecznym testem jej zdolności modernizacyjnych. Populacja starzeje się w tempie alarmującym; jeśli nic się nie zmieni, w połowie stulecia Polska będzie miała jedną z najstarszych struktur demograficznych w Europie. Plutokracja z kolei oznacza widmo narastających nierówności: badania oparte na danych podatkowych sugerują, że faktyczne dysproporcje dochodowe są znacznie wyższe, niż wynika to z oficjalnych, ankietowych statystyk. Wreszcie produktywność – model oparty na taniej sile roboczej wyczerpuje się i musi ustąpić miejsca gospodarce innowacyjnej.

Na tę krajową mapę ryzyka nakłada się siatka globalnych megatrendów, określanych jako „5D": dywersyfikacja, dezintegracja, dekarbonizacja, digitalizacja i delokalizacja. Dywersyfikacja to konieczność rozproszenia źródeł wzrostu i poszukiwania nowych, bardziej zaawansowanych sektorów. Dezintegracja

objawia się w rosnących napięciach geopolitycznych, od wojny w Ukrainie po rywalizację USA–Chiny, które mogą zachwiać stabilnością handlu i podważyć spójność Unii Europejskiej. Dekarbonizacja jest procesem nieodwracalnym; gospodarki, które nie zainwestują w czystą energię, znajdą się na marginesie globalnego systemu. Digitalizacja, od sztucznej inteligencji po automatyzację, jest mieczem obosiecznym: może radykalnie zwiększyć produktywność, ale też trwale wykluczyć pracowników o niższych kwalifikacjach. Wreszcie delokalizacja, czyli zmiana w globalnych łańcuchach dostaw, które stają się krótsze i bardziej regionalne, co dla Polski może być szansą, o ile mądrze wykorzysta bliskość Niemiec i swoje centralne położenie w Unii.

Pułapka średniego dochodu: jak jej uniknąć?

W leksykonie ekonomii istnieje pojęcie złowieszczo brzmiącej pułapki średniego dochodu. Opisuje ono sytuację, w której kraj, po okresie brawurowego pościgu za czołówką, grzęźnie na poziomie średniego rozwoju, niezdolny do wykonania ostatniego skoku do ligi państw wysokodochodowych. Przyczyny są boleśnie proste: wyczerpują się łatwe rezerwy wzrostu, takie jak tania siła robocza czy import gotowych technologii, a gospodarka nie potrafi przestawić się na tryb innowacyjny. Historie Ameryki Łacińskiej czy Turcji to nie akademickie przypowieści, lecz dowody, że pułapka jest realna.

Polska, zdaniem wielu analityków, znajduje się dziś w punkcie krytycznym tej opowieści. Wciąż rośniemy szybciej niż zamożny Zachód, jednak tempo konwergencji, czyli doganiania, wyraźnie słabnie. Aby nie podzielić losu Hiszpanii czy Portugalii, które po osiągnięciu unijnej średniej zaczęły powoli dryfować z dala od liderów, Polska musi znaleźć nowe silniki wzrostu. Konsensus Warszawski jest właśnie taką propozycją odpowiedzi: więcej inwestycji, więcej innowacji, większa otwartość na imigrację i dalsze wzmacnianie instytucji.

Jak zauważa jednak Dani Rodrik, jeden z najbardziej przenikliwych ekonomistów instytucjonalnych, „nie ma uniwersalnej recepty na rozwój, ale jest uniwersalna prawda, która głosi, że rozwój wymaga eksperymentowania i uczenia się”. Polska stoi więc przed zadaniem nie tyle powielania cudzych modeli, ile tworzenia własnych – elastycznych i odpornych algorytmów społecznego rozwoju.

Niewidzialne czynniki: kultura, idee, elity sukcesu

Wcześniej rekonstruowałem szkielet instytucjonalny polskiego sukcesu i jego strategiczne scenariusze. Czas zajrzeć pod powierzchnię, tam, gdzie kryją się siły mniej uchwytne niż ustawa o konkurencji czy poziom deficytu, a równie decydujące o losach gospodarki. Kultura, idee i elity tworzą niewidzialną infrastrukturę

rozwoju. Nie znajdziemy jej w rocznikach statystycznych GUS-u, ale bez niej wszystkie te liczby pozostałyby tylko pustymi symbolami na papierze.

Dziedzictwo, które przyspiesza albo spowalnia

Ekonomiści przez dekady traktowali kulturę jak statystyczną „resztę" w równaniach wzrostu – niewyjaśniony margines, który zostawał po uwzględnieniu kapitału i pracy. Dziś coraz powszechniej rozumie się, że to wartości i normy społeczne kształtują instytucje równie mocno, jak instytucje kształtują je. Jak pisał noblista Douglass North: „Instytucje są tylko tak dobre, jak ludzie, którzy nimi zarządzają, oraz idee, które kierują ich działaniem". Brzmi to może banalnie, lecz w polskim kontekście nabiera niezwykłej ostrości.

Przez stulecia kultura szlachecka gardziła działalnością gospodarczą, uznając handel i przedsiębiorczość za zajęcia niższe, niegodne prawdziwego obywatela. Skutek? Przez cały wiek XIX i początek XX rodzimy kapitalizm był anemiczny, a jego motorami napędowymi stawali się często Niemcy i Żydzi. Wzorce kulturowe działały jak zaciągnięty hamulec bezpieczeństwa, blokując wewnętrzną modernizację. Tyle że bezpieczeństwa nie było wcale, a hamulec owszem – trzymał mocno.

Po 1945 roku nastąpił radykalny zwrot. Komunizm, katastrofa gospodarcza i moralna, wyrugował zarazem feudalne relikty, które przez stulecia kneblowały mobilność. Polacy masowo trafili do szkół i na uniwersytety, co otworzyło nieznane wcześniej ścieżki awansu. Nowa, egalitarna i scentralizowana kultura pracy miała swoje absurdy, ale jednocześnie przełamała stare bariery. Nawet katolicyzm, w innych krajach postrzegany jako hamulcowy modernizacji, w Polsce odegrał rolę tożsamościowej kotwicy. Wspierał wspólnotę i, paradoksalnie, stymulował dążenia reformatorskie. Jan Paweł II odegrał tu kluczową rolę symboliczną; jego wezwania do „odnowy ducha" i przywrócenia „podmiotowości człowieka" stały się kulturowym prologiem transformacji.

Po 1989 roku kultura zmieniała się jeszcze szybciej niż instytucje. Polska modernizacja nie była wyłącznie gospodarcza – była także, a może przede wszystkim, obyczajowa. Styl życia klasy średniej, aspiracje do zachodniego standardu konsumpcji i edukacji, postępująca sekularyzacja – wszystko to tworzyło społeczne oparcie dla liberalnych reguł gry. Polska, mimo wizerunku konserwatywnego bastionu katolicyzmu, stawała się krajem coraz bardziej świeckim i otwartym. Warto przy tym pamiętać, że kultura nigdy nie jest monolitem. Konserwatyzm i modernizacja współistniały w ciągłym napięciu, które ostatecznie napędzało zmianę.

Teorie, które zmieniają rzeczywistość

Historia polskiej transformacji to również historia idei. Neoliberalizm lat dziewięćdziesiątych – wiara w prymat rynku, wolny handel i niczym nieskrępowaną konkurencję – był intelektualnym importem z Zachodu. Plan Balcerowicza, inspirowany Konsensusem Waszyngtońskim, czyli zestawem liberalnych recept dla

krajów rozwijających się, bezkompromisowo wprowadzał te zasady w życie. Krytycy mówili o „doktrynerskiej terapii szokowej", ale trzeba pamiętać, że w tamtym momencie te idee były jedyną dostępną przepustką do globalnej gospodarki.

Szybko jednak pojawiły się korekty. Grzegorz W. Kołodko zaczął mówić o potrzebie „Strategii dla Polski", postulując odejście od ślepego doktrynerstwa ku bardziej zrównoważonemu modelowi. Jego słowa, że „nie można iść na skróty, bo skróty prowadzą na manowce", doskonale oddają ducha pragmatyzmu, który z czasem zaczął dominować w polityce gospodarczej. W efekcie Polska wypracowała własny, hybrydowy model: liberalny w fundamentach, ale z silną rolą państwa rozwojowego. To właśnie z tej tradycji wyrasta współczesny Konsensus Warszawski, kładący nacisk na inwestycje, innowacje i spójność społeczną.

Warto tu przywołać słynne zdanie Johna Maynarda Keynesa: „Ludzie praktyczni, którzy uważają się za wolnych od wszelkich wpływów intelektualnych, są zwykle niewolnikami jakiegoś dawno zmarłego ekonomisty". W polskim przypadku tymi „duchami" byli na zmianę Milton Friedman, Joseph Stiglitz czy Dani Rodrik. Idee krążą, a Polska okazała się pojętnym uczniem, który potrafił je przeszczepiać, modyfikować i adaptować do lokalnych warunków.

Architekci transformacji

Na koniec – elity. To one były chirurgami przeprowadzającymi tę operację na otwartym sercu narodu. Leszek Balcerowicz, architekt terapii szokowej, wcielił w życie radykalny program, który zdławił hiperinflację i otworzył rynek. Grzegorz W. Kołodko, minister finansów w okresie największego boomu, korygował neoliberalne ekscesy i stabilizował wzrost. Symboliczne jest to, że obaj wywodzili się z ubogich rodzin, a ich kariery umożliwiła egalitarna edukacja PRL-u. Komunizm, niechcący, wykształcił własnych grabarzy, którzy zbudowali na jego gruzach kapitalizm.

Elity to jednak nie tylko ekonomiści. To także prozachodnia inteligencja – akademicy, prawnicy i dziennikarze, którzy kształtowali publiczny dyskurs. To Kościół, który w latach osiemdziesiątych stanowił azyl dla opozycji. To wreszcie Unia Europejska, pełniąca rolę „zewnętrznego recenzenta", który narzucał standardy i wymuszał reformy. Polska transformacja miała szczęście do ludzi – pragmatycznych, kompetentnych i zdolnych do kompromisu. To rzadki zasób w polityce, a w tej części Europy – niemal unikatowy.

Można by zaryzykować tezę, że polski sukces gospodarczy to efekt mariażu „trzech K": katolicyzmu, kapitalizmu i kompromisu. Brzmi to jak dowcip z PRL-owskiego kabaretu, a jednak jest w tym ziarno prawdy. Katolicyzm dał tożsamościową spójnię, kapitalizm dostarczył dynamiki, a kompromis między zróżnicowanymi elitami zapewnił stabilność. Polska modernizacja nie była realizacją jednego, genialnego planu. Była raczej procesem, w którym różne siły kulturowe, ideowe i personalne nałożyły się na siebie, tworząc nieoczekiwanie pomyślną całość.

Polska 2050: scenariusze przyszłego rozwoju

Dotychczasowy obraz Polski to opowieść o cudzie transformacji, o kraju, który z peryferii oligarchicznych instytucji przebił się do centrum inkluzywnej demokracji rynkowej, zadziwiając Europę dynamiką wzrostu. Każdy cud gospodarczy ma jednak swoją datę ważności. Pytanie, które dziś wisi w powietrzu, jest fundamentalne: czy Polska w XXI wieku pozostanie mistrzem nadrabiania zaległości, czy też, jak niegdyś Hiszpania, Portugalia czy część Ameryki Łacińskiej, utknie w pułapce średniego dochodu, zatrzymując się na progu nowoczesności?

Prognozy ekonomiczne na najbliższe lata są względnie zgodne. Do końca tej dekady Polska powinna utrzymać przewagę wzrostu nad unijną średnią, co w języku ekonomicznych metafor oznacza ostatnią prostą konwergencji. Ambitne społeczeństwo, elastyczne przedsiębiorstwa, strategiczne położenie geograficzne i wciąż relatywnie niższe koszty pracy pozwolą utrzymać wysoką dynamikę. Już dziś PKB na mieszkańca według parytetu siły nabywczej przekroczył 30 tysięcy dolarów, a do 2030 roku ma szansę zrównać się z poziomem Hiszpanii i Włoch. Statystycznie rzecz biorąc, Polska jest o krok od dogonienia Zachodu. Jednak pod powierzchnią tych optymistycznych danych widać symptomy zmęczenia materiału. Tempo wzrostu produktywności słabnie, a proste rezerwy, takie jak napływ zagranicznych inwestycji czy tania siła robocza, zostały w dużej mierze wyczerpane. To, co pozwoliło nam gonić, nie wystarczy, by przegonić. Stajemy więc przed strategicznym wyborem: czy staniemy się „drugimi Włochami” – krajem o wysokim dochodzie, lecz chronicznie anemicznym wzroście – czy raczej nową „Koreą Południową”, która w ciągu jednego pokolenia przeszła od biedy do innowacyjnego rdzenia globalnej gospodarki?

Po roku 2030 kończy się ekonomia, a zaczyna gra wyobraźni i scenariuszy. Można zarysować trzy główne ścieżki rozwoju. Pierwsza to scenariusz sukcesu, w którym Konsensus Warszawski staje się realną strategią. Polska wzmacnia rządy prawa, inwestuje w nowoczesną infrastrukturę, mądrze otwiera się na imigrację i rozwija innowacje, stając się technologicznym sercem Europy Środkowej. Wówczas wizja „30-20-10” – czyli dochód o 30% powyżej średniej unijnej, miejsce w gronie 20 największych gospodarek świata i awans do pierwszej dziesiątki cywilizacyjnego rdzenia – staje się w pełni osiągalna.

Druga ścieżka to scenariusz stagnacji, w którym impet reform wygasa, a Polska wchodzi w fazę politycznego dryfu. Niekończące się spory o sądy, media i prawo własności zniechęcają inwestorów, produktywność rośnie w ślimaczym tempie, a demografia zaczyna działać jak balast. W tym wariancie Polska zatrzymuje się na poziomie zamożnej, lecz coraz bardziej prowincjonalnej Hiszpanii po latach osiemdziesiątych. Staje się krajem przyjemnym do życia, ale stopniowo odpadającym od peletonu liderów. Trzeci scenariusz to regres, w którym erozja instytucji staje się trwała, a kraj cofa się w stronę oligarchicznej logiki. Rosnące nierówności, przechwytywanie państwa przez wąskie elity biznesowo-polityczne oraz zaniedbanie edukacji i

innowacji sprawiają, że Polska nie tylko przestaje doganiać Zachód, ale powoli zaczyna się od niego oddalać, przypominając bardziej Turcję niż Niemcy.

Analiza przyszłości Polski w geopolitycznej próżni byłaby jednak naiwnością. Świat do 2050 roku stanie się areną globalnych turbulencji, które mogą radykalnie zmienić naszą trajektorię. Klimat jest tu wyzwaniem egzystencjalnym. Polska, wciąż zakotwiczona w węglu, stoi przed koniecznością dekarbonizacji wymagającej gigantycznych inwestycji. Zaniedbanie tej transformacji grozi marginalizacją w coraz bardziej „zielonej" Europie, podczas gdy przyspieszone inwestycje w OZE mogłyby uczynić z nas regionalnego lidera i wzmocnić strategiczną samowystarczalność energetyczną kontynentu. Geopolityka to kolejne ryzyko. Wojna w Ukrainie uczyniła z Polski kluczowego gracza frontowego w NATO i UE. To szansa na wzmocnienie pozycji, ale też ogromne obciążenie, gdyż militaryzacja i niepewność mogą hamować inwestycje. Technologia jest zarazem błogosławieństwem i przekleństwem. Automatyzacja i sztuczna inteligencja mogą podbić produktywność, lecz w gospodarce opartej na relatywnie taniej pracy grożą falą społecznych wykluczeń. Polska musi więc nie tylko konsumować technologie Zachodu, ale i tworzyć własne. Wreszcie demografia – cichy, lecz nieubłagany proces starzenia się społeczeństwa, który bez mądrej polityki imigracyjnej i aktywizacji zawodowej starszych pokoleń zdusi dynamikę wzrostu.

Największym niebezpieczeństwem nie jest jednak chwilowy spadek PKB czy kryzys walutowy. Jest nim utrata inkluzywności. Jeśli owoce wzrostu zaczną koncentrować się w rękach wąskich elit, a instytucje polityczne zostaną przez nie przechwycone, Polska może powrócić na oligarchiczną trajektorię, od której tak boleśnie uwalniała się przez cały XX wiek. Historia uczy, że oligarchie są niezwykle trwałe; wystarczy kilka dekad regresu, by utrwalić nowy „szlachecki" monopol na władzę i bogactwo. Tu tkwi paradoks naszej historii: Polska, która dzięki egalitarnej spuściźnie komunizmu uniknęła losu wielu sąsiadów w latach dziewięćdziesiątych, może stworzyć własną oligarchię w XXI wieku, jeśli zaniedba równość szans, jakość edukacji i rządy prawa.

Warto spojrzeć na przykłady z zewnątrz, które służą jako inspiracje i ostrzeżenia. Korea Południowa udowodniła, że można w ciągu dwóch pokoleń przejść od biedy do innowacyjnego centrum świata, stawiając na edukację i technologię. Hiszpania pokazała, że można zatrzymać się w pół drogi, a Brazylia – że gigantyczne nierówności potrafią zablokować rozwój mimo ogromnego potencjału. Polska stoi dziś w tym samym miejscu, w którym oni byli kilkadziesiąt lat temu. Jak pisał Francis Fukuyama, „zaufanie jest najważniejszym zasobem społecznym, którego nie da się łatwo stworzyć dekretem". To właśnie zaufanie – do państwa, do instytucji, do siebie nawzajem – zdecyduje, czy Polska będzie inkluzywna i innowacyjna, czy oligarchiczna i zablokowana.

Marcin Piątkowski pisał, że Polska ma szansę zostać „Lewandowskim europejskiego wzrostu". To prowokacyjne, lecz trafne porównanie. Wciąż jesteśmy na boisku, piłka jest w grze, a wynik meczu nie jest przesądzony. Polska może stać się politycznym, gospodarczym i kulturowym sercem Europy, ale równie

dobrze może znów wylądować na jej peryferiach. Przyszłość nie jest zapisana w gwiazdach ani w podręcznikach ekonomii. Jest zapisana w codziennych decyzjach o instytucjach, inwestycjach, innowacjach, imigracji i inkluzywności. A to, jak uczy historia, bywa trudniejsze niż wygranie najważniejszego meczu.

Polska lekcja: uniwersalne wnioski dla świata

Historia Polski po 1989 roku to nie tylko narodowa saga, lecz także przypadek o znaczeniu uniwersalnym. Ekonomiści i politolodzy na całym świecie zadają sobie to samo pytanie: dlaczego Polska odniosła sukces, podczas gdy wiele innych krajów o podobnym punkcie startu ugrzęzło w stagnacji lub cofnęło się w stronę oligarchii? To pytanie prowadzi nas prosto do serca współczesnych debat o instytucjach, kulturze i polityce rozwoju.

Najważniejszy wniosek jest brutalny: transformacja od instytucji oligarchicznych do inkluzywnych, czyli takich, które włączają szerokie grupy społeczne w życie gospodarcze i polityczne, jest trudna, a bez potężnego wstrząsu niemal niemożliwa. Polska przez cztery stulecia tkwiła w pułapce feudalnej oligarchii, w której szlachta monopolizowała władzę, a reszta społeczeństwa była jej pozbawiona. Nie istniała żadna wewnętrzna dynamika zdolna przełamać ten system. Potrzebna była katastrofa – II wojna światowa i komunizm – aby zburzyć dawny porządek. Jak pisał Daron Acemoglu, narody zmieniają instytucje dopiero wtedy, gdy stary ład zostaje zmieciony przez kryzys lub rewolucję. Polska jest podręcznikowym przykładem tej reguły.

Dla krajów Ameryki Łacińskiej czy Afryki płynie stąd surowe ostrzeżenie. Bez głębokiej zmiany w dystrybucji władzy i zasobów, oligarchiczne elity nie oddadzą swojej pozycji dobrowolnie. Reformy kosmetyczne są w tym kontekście jak malowanie fasady walącej się ruiny.

Polska udowodniła również, że import instytucji zachodnich – praworządności, wolnych mediów, niezależnych sądów, demokracji – może zadziałać. Akcesja do Unii Europejskiej była tu czynnikiem decydującym, narzucając reguły gry i dostarczając finansowego paliwa. Kraje, które miały podobną szansę, ale jej nie wykorzystały, jak Ukraina przed 2014 rokiem, utknęły w pół drogi. Nie oznacza to jednak, że instytucje da się przeszczepić mechanicznie. Muszą trafić na podatny grunt kulturowy, a Polska taki grunt miała: społeczne aspiracje, prozachodnie elity i świeżą pamięć o komunizmie, która uwrażliwiła na ryzyko powrotu oligarchii.

Lekcja dla innych regionów świata jest więc klarowna. Kopiowanie instytucji bez wspierającej je kultury i elit nie działa. Właśnie dlatego konstytucje w stylu zachodnim w Afryce czy Ameryce Południowej często pozostają martwą literą prawa.

Transformacja Polski pokazuje, że wartości i narracje są równie ważne jak wskaźniki makroekonomiczne. Hasło „powrotu do Europy" było nie tylko zgrabnym sloganem, ale kulturowym paliwem dla bolesnych reform. Postać Jana Pawła II, etos Solidarności, zachodnie wzory konsumpcji i edukacji – wszystko to tworzyło ramy, w których społeczeństwo było gotowe ponieść koszty zmian. Podobnie rzecz miała się z ideami ekonomicznymi. Neoliberalizm dał odwagę do radykalnych cięć, a późniejsze korekty, firmowane przez Kołodkę czy wymogi unijne, chroniły przed dogmatyzmem. To dowód na tezę Johna Maynarda Keynesa, że światem rządzą idee ekonomistów – żywych lub martwych.

Polski sukces nie miał jednego, cudownego składnika. Był raczej koincydencją wielu czynników: egalitarnego społeczeństwa po komunizmie, prozachodnich elit, unijnej kotwicy, bliskości niemieckiej gospodarki, pragmatycznej polityki gospodarczej i silnego nadzoru bankowego. Jak pisał Marcin Piątkowski: „rzeczy dzieją się tak, jak się dzieją, ponieważ wiele rzeczy dzieje się naraz". Rozwój to nie efekt jednej reformy, lecz orkiestra wielu instrumentów grających w harmonii.

Przez wieki Polska cierpiała na chroniczną słabość instytucji państwa. Dopiero po 1989 roku udało się zbudować aparat zdolny do egzekwowania prawa, zbierania podatków i regulowania rynku. Silne państwo nie jest przy tym synonimem autorytaryzmu. To sprawna administracja, przewidywalne prawo i instytucje, które nie są łupem partii politycznych. Polska udowodniła, że demokracja i silne państwo mogą się wzajemnie wzmacniać.

Transformacja była inkluzywna w tym sensie, że wzrost dochodów dotyczył wszystkich grup społecznych, a nierówności pozostały na umiarkowanym poziomie. Dzięki temu nie doszło do masowej delegitymizacji demokracji, jak stało się to w Rosji czy na Ukrainie. To potwierdza intuicję Amartyi Sena, że wolność polityczna i włączenie społeczne są nie tylko celem, ale i środkiem rozwoju. Dla innych krajów to ostrzeżenie: wzrost oparty na nierównościach jest krótkotrwały, niszczy zaufanie, marnuje talenty i nieuchronnie prowadzi do kryzysów politycznych.

Na koniec warto podkreślić, że sukces Polski to nie tylko wzrost PKB. To także realna poprawa jakości życia, wydłużenie jego trwania, lepsza edukacja i większe zadowolenie obywateli. To echo tez Josepha Stiglitza, który przekonywał, że miarą rozwoju powinien być dobrostan społeczny, a nie tylko suchy produkt krajowy. Polska transformacja była pod tym względem wyjątkowa, ponieważ obywatele realnie odczuli jej owoce, co przełożyło się na legitymizację całego systemu.

Polska stała się laboratorium, w którym testowane są najważniejsze teorie rozwoju. Dla Acemoglu i Robinsona to przykład kraju, który wyrwał się z pułapki oligarchii. Dla zwolenników Douglassa Northa to dowód, że instytucje i kultura są nierozdzielne. Dla Francisa Fukuyamy to przykład, że zaufanie społeczne można odbudować nawet po głębokiej traumie. Polska jest także ostrzeżeniem. Historia uczy, że sukcesy bywają odwracalne, a inkluzywność można łatwo stracić. Przyszłość kraju zależy od tego, czy utrzyma kurs

na instytucje wzmacniające zaufanie i równe szanse, czy też pozwoli, by krótkowzroczne interesy polityczne zdominowały grę.

Alexis de Tocqueville pisał, że los narodów zależy bardziej od ich instytucji i obyczajów niż od geografii i bogactw naturalnych. Polska pokazała, że można zmienić swój los. Pytanie brzmi: czy potrafi go utrzymać.

> Przyszłość kraju zależy od tego, czy utrzyma kurs na instytucje wzmacniające zaufanie i równe szanse, czy też pozwoli, by krótkowzroczne interesy polityczne zdominowały grę. Alexis de Tocqueville pisał, że los narodów zależy bardziej od ich instytucji i obyczajów niż od geografii i bogactw naturalnych. Polska pokazała, że można zmienić swój los. Pytanie brzmi: czy potrafi go utrzymać.

Inspiracje

[1] **"Why Nations Fail: The Origins of Power, Prosperity, and Poverty"** Daron Acemoglu, Simon Johnson, James A. Robinson

Literatura uzupełniająca

Książki

Literatura pokrewna (Google Scholar):



[1] **"Power and Progress: Our Thousand-Year Struggle Over Technology and Prosperity"**

Daron Acemoglu, Simon Johnson

2023 | Hachette UK | ISBN: 9781399804486

[2] **"The Politics of Inclusive Development: Interrogating the Evidence"**

Sam Hickey, Badru Bukenya, Kunal Sen

2016 | Oxford University Press

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] "Inclusive Institutions for Sustainable Economic Development"

Miroslav Jakšić, Marija Jakšić

2018

Google Scholar

[2] "Institutions as the Fundamental Cause of Long-Run Growth"

Daron Acemoglu, Simon Johnson, James A. Robinson

2005 | Handbook of Economic Growth

[3] "The Colonial Origins of Comparative Development: An Empirical Investigation"

Daron Acemoglu, Simon Johnson, James A. Robinson

2001 | American Economic Review

APA ONE Publishing System

Fundacja Dobre Państwo © 2026

Article ID: 26e43947-bf76-4876-be35-448a1b424071